

Rolnik, ekolog, filozof - z Thomasem Notterem rozmawia Dariusz Matusiak

Na drogowskazie prowadzącym do Twojego domu widnieje napis "gospodarstwo ekofilozoficzne". Czy mógłbyś wyjaśnić, czym różni się ono od konwencjonalnego gospodarstwa rolnego?

Thomas Notter: To słowo ma prowokować do myślenia. Nie chciałem pisać "gospodarstwo ekologiczne", gdyż nie identyfikuję się z rolnictwem stowarzyszonym w organizacjach ekologicznych. Chcę być niezależny. Dla mnie ważne jest, aby mieć kontakt z ziemią, aby ją czuć. Czy może ją czuć rolnik-biznesmen, mający 100 ha ziemi, na której pracują inni ludzie? Myślę, że on takiego kontaktu nie ma, choć może mieć atest rolnictwa ekologicznego. Obecnie ekologia staje się nową religią ludzi bogatych, w której ważnym jest pójście do sklepu ze zdrową żywnością ze snobizmu i by oczyścić własne sumienie. Konsekwencją tego jest to, że kiedy 20 lat temu każdy eko-rolnik był filozofem, to obecnie staje się on biznesmenem, a główną motywacją pracy na roli jest pieniądź.

Czy jest jeszcze coś, co odróżnia Twoje gospodarstwo od innych?

T. N.: Chyba to, że samodzielnie prowadzę gospodarstwo i bezpośrednio sprzedaję swoje produkty, bez niepotrzebnej biurokracji. Ludzie kupując u mnie, mogą sami zdecydować, czy podoba im się to gospodarstwo i sposób, w jaki uprawiam ziemię i jeśli po rozmowie ze mną stwierdzą, że im to nie odpowiada, pojedą do innego rolnika.

Z tego co wiem, Twój pierwotny zawód nie jest związany z uprawą roli. Co więc spowodowało, że postanowiłeś zająć się rolnictwem?

T. N.: Mieszkalem w dzieciństwie na wsi pod Zurychem, a później przeniostałem się do miasta, aby studiować filozofię. Kiedy poznałem Claudię, moją przyszłą żonę, znaleźliśmy mieszkanie w środku miasta, w najgorszym miejscu, jakie można było sobie wyobrazić. Był tam straszny ruch samochodowy. Uświadomiliśmy sobie wtedy, że chcemy zamieszkać na wsi, z dala od hałasu i spalin wielkiego miasta, jednak nie mieliśmy pieniędzy, aby wynająć mieszkanie na wsi i uczyć się tam rolnictwa. Szukaliśmy przez jakiś czas takiego miejsca, mieliśmy nawet pomysł, aby wypożyczyć samochód turystyczny, w którym można by zamieszkać, ale i to przerastało nasze możliwości finansowe. Ponieważ interesowaliśmy się kulturą Indian, wpadliśmy na zwiariowany pomysł zamieszkania w namiocie indiańskim - tipi. Po wielu staraniach udało się nam to. Dokonaliśmy wtedy przeskoku cywilizacyjnego z mieszkania o wysokich szwajcarskich standardach do prymitywnego tipi z ogniskiem zamiast pieca. Było to dokładnie 10 lat temu.

Motywację musieliście mieć ogromną. Z czego ona wynikała?

T. N.: Od dzieciństwa czułem, że wszystko, co wydaje się ludziom pewne i prawdziwe, wcale takie być nie musi i często są to zwykłe bzdury. Można wygadywać niestworzone rzeczy, a wiele milionów ludzi może w to uwierzyć i według tego będzie żyć, nie zdając sobie sprawy, że zostali oszukani. Jeśli więc samemu się te dogmaty zweryfikuje, to bardzo łatwo można dojść do przekonania, że jest to zwykłe oszustwo. Tak może być we wszystkich dziedzinach życia. Z tego powodu musiałem wszystkiego spróbować sam, aby życie budować na własnych doświadczeniach, a nie na glinianych fundamentach. Szukałem wiedzy, a nie wiary i przekonania.

Na przykład?

T. N.: Podam przykład z dziedziny medycyny. W naszej kulturze utrwalił się pogląd, że aby kobieta mogła urodzić dziecko, musi trafić do szpitala pod opiekę lekarza i całej skomplikowanej aparatury medycznej, bez której ona i jej dziecko nie mogą przeżyć. A przecież człowiek jest na ziemi już około 2 mln lat i sam sobie musiał radzić bez nowoczesnej medycyny, inaczej nie przetrwałby tego okresu. Kobieta może więc bezpiecznie urodzić dziecko tak, jak robią to zwierzęta i poród nie jest tak skomplikowany i tragiczny, jak wmawiają nam lekarze. Aby się przekonać o tym, przestudiowałem z moją żoną wiele książek na ten temat i udało się, radzimy sobie bez pomocy lekarza przy narodzinach naszych dzieci.

Czego jeszcze dowiedziałeś się robiąc przeskoc z nowoczesności do czasów "archaicznych"?

T. N.: Zauważyłem, że ten świat strasznie nas ogranicza i kieruje tylko tam, gdzie są korzyści dla ludzi manipulujących resztą. Dzieje się tak zarówno w ekonomii, nauce, polityce, jak i w religii. Dla mnie ważne było jednak akceptowanie tylko tych praw, które kierują naszym życiem, z pominięciem wszystkiego, co niepotrzebne. To było moim celem i aby tego dokonać, musiałem spróbować wszystkiego na własnej skórze. Postanowiłem więc pójść do namiotu tipi, jak czynili to Indianie i zmierzyć się z życiem. Doświadczyć tego, jak wygląda świat materialny i duchowy, gdy jest ognisko w domu zamiast centralnego ogrzewania i kiedy w zimie czuć wiatr i mróz.

Czy to spowodowało w Tobie jakąś wewnętrzną przemianę?

T. N.: Tak. Zacząłem wtedy rozumieć, co się dzieje wokół mnie, dostrzegłem ziemię, rośliny i zwierzęta. Ale potrwało jeszcze 9 lat, aż zacząłem naprawdę widzieć i pojmować wiele kwestii. Mogłem więc dokonać kroku naprzód na mojej drodze. Na drugi rok miałem więc już w tipi piec, a także podwójny namiot, który izolował od wilgoci i zimna, a nawet prąd by móc czytać książki, ponieważ w zimie słońce zachodzi bardzo wcześnie. Latem prowadziliśmy koczowniczy tryb życia, gdyż chcieliśmy przekonać się, co oznacza bycie nomadami. Następnym krokiem na naszej drodze była już Polska, gdzie kupiliśmy stary dom nad Czarną Hańczą i gdzie jesteśmy do dziś. Choć dom był bardzo prymitywny, to jednak potrafił się dostosować do tych warunków, bo mieszkaliśmy wcześniej w indiańskim namiocie, gdzie było ognisko i posiadanie czterech ścian i dachu nad głową było dla nas wielkim luksusem. Człowiek z miasta, który w takich warunkach musiałby przez dłuższy czas żyć, chyba by zwiariował, ale dla nas nie było to problemem.

Czy osiedlając się nad Czarną Hańczą, miałeś marzenie, aby zostać samowystarczalnym?

T. N.: Już w mieście było to naszym celem. Dlatego chciałem żyć bardzo skromnie. Zajmowałem się wtedy studiowaniem kultury Indian zastanawiając się, jak najlepiej żyć na ziemi. Myślałem, że rozwiązaniem jest uprawianie ziemi dla własnych potrzeb, szyć ubrania, budowanie domu. Zrozumiałem jednak, że jest to strasznie trudne, bowiem w teorii można wszystko zrobić bardzo szybko, ale w praktyce jest już gorzej: ręce boją od pracy, czasu mało, materiałów również. Wymyślenie jakiegoś idealnego rozwiązania jest proste i szybkie, ale wprowadzenie tego w życie jest dużo trudniejsze.

Powróćmy jednak do Twoich eksperymentów egzystencjalnych. Czy "przechodząc" przez ten cykl ewolucji cywilizacyjnej zauważyłeś jakieś błędy, które w niej tkwią i które należałoby, Twoim zdaniem, z niej odrzucić?

T. N.: Jest taka mądrość chińska, która mówi, że aby przepłynąć rwącą rzekę, potrzebna jest łódź. Ale kiedy już przepławisz się na drugą stronę, powinieneś łódź zostawić na brzegu. Jednak człowiek często przywiązuje się do swojej łodzi i przez całe życie dźwiga ją na własnych plecach. Niesie ją po pustyniach i po górach. Tak właśnie dzieje się obecnie. Jednym z takich balastów są religie, które kiedyś były potrzebne w rozwoju człowieka, a obecnie mu przeszkadzają. Uważam, że technika również przekroczyła swoje granice. Stworzona po to, aby ulżyć człowiekowi w jego ciężkiej pracy, doprowadziła w konsekwencji do tego, że człowiek pracuje ciężko, aby utrzymać wymyślone przez siebie maszyny. Obecnie komputer staje się autorytetem w wielu dziedzinach i człowiek zbyt mu ufa. Mnóstwo ludzi traci pracę tylko dlatego, że ich miejsce zajęły maszyny, które muszą pracować.

Mówiłeś o zmierzchu religii. Co według Ciebie jest w nich anachronizmem?

T. N.: Wiele myślałem na ten temat. Uważam, że ludzie nie potrzebują już tylu religii i ich skomplikowanych modeli życia duchowego. Istotne jest jedynie, czym jesteśmy i co robimy na tej planecie. Ludzie są częścią Ziemi, tak jak rośliny i zwierzęta. Wszystko jest ze sobą połączone. Człowiek musi więc zrozumieć, że nie jest najważniejszy na tym świecie, bo jego ciało pochodzi z Ziemi i żyje dzięki roślinom i zwierzętom. Problemem człowieka jest jednak to, że poprzez system religijny zaczął bardzo źle mówić o planecie, na której żyje. Ziemia przestała być dla niego żywą istotą. To samo dotyczy także energii kobiecej. Kobiety są bardzo źle traktowane we wszystkich właściwie systemach religijnych, bowiem uważa się że od nich pochodzi wszelkie zło. Są pojedyncze, małe religie, gdzie szanuje się energię kobiecą, ale to są wyjątki. W pozostałych religiach gloryfikuje się jedynie energię męską. Dlatego wiele kobiet wstydy się tego, że są kobietami, chyba że są to piękne modelki podziwiane przez mężczyzn, ale to z energią kobiecą nie ma nic wspólnego. Bo prawdziwa energia kobiega to energia Ziemi, życia i faktycznych doświadczeń. Od niej wszystko pochodzi, bo ona ma zdolność rodzenia, daje nowe życie. To jest przecież coś znacznie większego niż potrafią nasze banki, które z pieniędzy dają odsetki. Starają się nam przy tym wmówić, że to dzięki ich pieniądзом wszystko istnieje, a to jest przecież zwykłe kłamstwo. Wszystko powstaje z energii żeńskiej. Dzięki niej rośliny i zwierzęta dają co roku nowe życie, które jest zabierane ziemi przez ludzi. A przecież tam jest największa wartość, gdzie człowiek z ziemią współpracuje i swoją pracą dba o jej urodzajność.

Co według Ciebie spowodowało, że człowiek oddzielił się od Ziemi i od energii kobiecej?

T. N.: Myślę, że człowiek zgubił się w świecie intelektu i w tym, co sam uznał za rzeczywiste. W tym świecie wiele jest możliwe, ale nie wszystko. To jednak nie powstrzymuje ludzi od wymyślania takich koncepcji, które są zupełnie oderwane od rzeczywistości. Gubi ich własna pycha, co do swoich nieograniczonych możliwości, które stawiać ich mają ponad przyrodą. Podam pewien przykład. Powszechnie uważa się, że dinozaury żyjące 60 mln lat temu, były bardzo prymitywnymi zwierzętami, w porównaniu z człowiekiem. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że żyły łącznie ok. 200 mln lat, a człowiek żyje tylko 2 mln i jest na progu samozagłady.

Przez wiele tysięcy lat ludzie tworzyli wspólnotę z Ziemią i w tym pomagali im rytuały. Czy Ty też sięgasz po ten rodzaj doświadczenia?

T. N.: Nigdy nie uczestniczyłem w takich świętych rytuałach, choć wiem, że w wielu tradycjach indiańskich miały one bardzo ciekawą formę. Myślę, że to mogło być kiedyś potrzebne, ale jest bardzo trudne, ponieważ zostały one zatraczone lub źle wykorzystane. Kiedyś wszystkie rytuały miały silne zakorzenienie w przyrodzie, ale w naszych czasach rytuały zostały strywializowane, stały się pustymi symbolami. Dzisiaj chyba nie ma potrzeby przywiązywać się do rytuałów. Bezpośredni kontakt z przyrodą powinien człowiekowi wystarczyć.

Czy mieszkając w pięknej przyrodniczo okolicy czujesz silny kontakt z dziką przyrodą?

T. N.: Muszę przyznać, że niestety czuję z nią mniejszy związek niż kiedyś. Gdy mieszkałem w namiocie indiańskim, czułem wszystko: deszcz, zimno, burzę. Miałem też więcej wolnego czasu. Teraz muszę utrzymać gospodarstwo i zapewnić swoim dzieciom jakąś przyszłość. Myślę jednak, że dzika przyroda, jeśli będzie miała dość niszczenia przez ludzi, sama sobie w tym poradzi. Jest jednak pewnym paradoksem, że w tych krajach, które najbardziej ją niszczą, nie dochodzi do wielkich klęsk. Jeśli np. w Szwajcarii jest powódź, to oczywiście są straty finansowe, ale ginie tylko kilka osób, a w takich Indiach czy Mozambiku od razu parę tysięcy. Jak jest to więc możliwe, żeby biały człowiek, który robi tyle głupstw przyrodzie, może tak dobrze i wygodnie żyć. Choć z drugiej strony nie chodzi o to, aby ten świat konserwować, żeby wyglądał jak parę tysięcy lat temu i mówić, że to było rajem. Należy jednak zrozumieć, że wszystko jest w ciągłym ruchu, podlega dynamicznym zmianom i dla ziemi zniszczenie jednego kontynentu nie jest problemem. Za kilka tysięcy lat może stworzyć coś nowego. Przecież tam, gdzie jest dziś Antarktyda kiedyś rosły lasy, a tu na Suwalszczyźnie można znaleźć muszki w kamieniach, które są pozostałością po morzu.

Chciałbym jeszcze wrócić do spraw związanych z uprawą ziemi i Twojego wieloletniego doświadczenia w prowadzeniu gospodarstwa rolnego. Jak oceniasz przemiany, jakie zachodzą w rolnictwie pod kątem ochrony środowiska?

T. N.: Problem polega na tym, że rolnik staje się niewolnikiem banków. Politycznie jest wolnym człowiekiem, któremu przysługują prawa wyborcze, ale faktycznie wciąż tkwi w systemie niewolniczym. Kiedyś rolnik mógł produkować, co chciał, teraz kto inny decyduje za niego. Rząd lub Unia Europejska decydują, jaki gatunek czy odmianę zboża ma siał na swoim polu. Jeśli tego nie zrobi, zbankrutuje. W Szwajcarii rolnik jest zadłużony średnio na sumę 700 tys. franków szwajcarskich, co oznacza, że pracuje już tylko dla banków na odsetki. Chcąc oddać te pieniądze, musi eksploatować swoją ziemię. Widać to

także u moich sąsiadów na Suwalszczyźnie, którzy wcześniej nie przyskali zboża pestycydami, a teraz mówią, że skoro dążymy do Unii Europejskiej, to musimy być bardziej konkurencyjni i stosować więcej nawozów sztucznych i oprysków. Według nich gospodarstwo wygląda poważnie, jeśli widać ślady po opryskach na polach. Oni jednak muszą być świadomi również tego, że Unia Europejska i światowy rynek nie mają interesu w tym, żeby Polska była ich partnerem na równych prawach. Unia potrzebuje nowych klientów na swoje produkty, według zasady "wy musicie kupować, a nie produkować". Dlatego Zachód boi się, że ich system może się załamać tak, jak wcześniej komunizm, jeśli "wschodniej krowy" nie da się już dalej doić. Ich iluzoryczne pieniądze pozostaną wtedy już tylko na papierze.

Wiele osób marzy o tym, by spędzić swoje życie wśród przyrody w sposób podobny do Twojego. Czy mógłbyś podzielić się na zakończenie naszej rozmowy jeszcze jakimiś swoimi doświadczeniami?

T. N.: Jest coś ważnego, o czym powinniśmy pamiętać. Każdy ma swoją osobistą drogę życiową, którą powinien iść. Człowiek ma wolną wolę, może i musi wybierać. Nie każdemu jest pisane życie na wsi. Są tysiące różnych możliwości, bo nie każdy musi być rolnikiem. Można się realizować mieszkając w mieście i wykonując jakiś inny potrzebny zawód. Oznacza to, że musimy zrozumieć, iż nie jest możliwe, aby tylko część ludzi na świecie mogła się rozwijać i żyć w dostatku, a reszta została spisana na straty. Nie jest to możliwe, bo wszyscy jesteśmy ze sobą połączeni.

Dziękuję za rozmowę.

Bachanowo, 5 sierpnia 2001

Claudia i Thomas Notter przybyli na Suwalszczyznę w 1993 r. We wsi Bachanowo prowadzą 23-hektarowe gospodarstwo rolne. Produkują słynne w całym regionie (a nawet poza jego granicami) sery szwajcarskie. Mają dziewięcioro dzieci.